

Rozdział 8

Szczelina

Piętnastego i szesnastego stycznia 1981 roku, Jacek Kuroń, doradca Krajowej Komisji Porozumiewawczej, gościł w Szczecinie. Wszędzie tam, gdzie go zapraszano, sale były przepełnione. Pamiętano jego wystąpienie w amfiteatrze w Parku Kasprowicza i zgotowany mu aplauz. Dziękowano mu za wspaniałą działalność w Komitecie Obrony Robotników i podziwiano jego odwagę. Zamykanie Kuronia na czterdzieści osiem godzin stało się przysłowiowe. Mało kto w owym czasie odważał się na jawną działalność opozycyjną.

W niewielkiej sali MKR było tłoczno i gęsto od dymu. Głos Jacka Kuronia, przypominający cięcie drzewa stępną piłą, był teraz tak zachrypnięty, że trudno było wyłapać słowa. W rozpiętej na piersiach, z zawiniętymi rękawami koszuli, z nierozłącznym papierosem w ręku, mówiąc, chodził tam i z powrotem. Przypominał boksera wagi ciężkiej na ringu. Zatrzymując się na sekundę i strząsając popiół do popielniczki, rzucał spojrzenie na salę, ale zebranych tam ludzi jakby nie widział, zapatrzony w swoje myśli. To był wielkiej klasy demagog.

Słuchałem go zafascynowany, ale nie mogłem w sobie przełamać pewnej nieufności. Wielu naukowców, literatów, dziennikarzy, artystów twierdziło, że szczerze wierzyli w komunistyczne idee i dlatego entuzjastycznie je popierali. Nawet później, gdy dostrzegali wynaturzenia, starali się im zapobiegać.

Ja, jako młody chłopak, pozbawiony dostępu do źródeł prawdy, dla którego świat polityki dorosłych nie istniał, a kula ziemską ograniczała się do krajów socjalistycznych, bo inne tonęły w mroku nędzy, wyzysku, ciągłej walce przeciwko imperialistom i kapitalistom, przypadkowo słysząc pojedyncze słowa przedzierające się przez jazgot zagłuszarek (mój wujek, aptekarz, Alojzy Szkodowski słuchał namiętnie Londynu), wiedziałem o aresztowaniach, torturach i zbrodniach Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Miałem oczy otwarte i widziałem wstrętą zieleń koszul i czerwień krawatów ZMP, Zdawałem sobie sprawę z fałszu akademii, bełkotu prasy i radia, nudy apeli szkolnych, kłamstw lekcji historii i języka polskiego i „entuzjazmu” spędów pierwszomajowych.

Wiedziałem, że chodzę po kolana w błocie komunistycznej ideologii. Nienawidziłem jej i byłem wrogo nastawiony do jej wyznawców i kapłanów. Niejedne z tego powodu, wynikły dla mnie kłopoty.

Jak sięgam pamięcią, nie odnajduję w swojej rodzinie, nawet w tych najdalszych odgałęzieniach, kogokolwiek kto należał do ZMP, Partii lub do innych prokomunistycznych organizacji. A przecież była to inteligencja, naukowcy, pisarze, dziennikarze, architekci, inżynierowie, adwokaci. Każdy chciał żyć przyzwoicie i zaspokoić w jakiejś mierze swoje ambicje, a dzięki kolaboracji z komunistami droga ta stawała się wygodniejsza.

Dlatego nie mogę zrozumieć, czym kierowali się na przykład założyciele "Czerwonego Harcerstwa", ukształtowani umysłowo ludzie, którym nie można było zarzucić naiwności. Dlatego nigdy nie wyzbyłem się, jeżeli już nie niechęci, to ostrożnej nieufności do tych wszystkich, którzy wspierali ten przestępczy ustrój.

Wydaje mi się, że popełnione błędy należy publicznie odpokutować, wycofując się z dalszej społecznej działalności. Pro publico bono.

Byli szaleńcy, którzy w MKR starali się powołać komórkę kontrwywiadu i tropić ukrytych wrogów. Oczywiście byliśmy nimi naszpikowani. Nie tylko donosili, wzbogacając

kartoteki SB, ale próbowali rozsadzić związek od wewnątrz. Nie mogliśmy dać się zwariować i rozpocząć polowań na czarownice. Wiedziałem, że prędzej, czy później w jakiś sposób ujawnią się.

Poza tym nie mieliśmy nic do ukrycia. Nasze struktury organizacyjne były jawne, nie planowaliśmy spisku, wywołania powstania ani zorganizowania zbrojnego podziemia.

Mieliśmy poczucie siły i pewność szybkiego zwycięstwa. Byliśmy wrzącą lawą w pozornie martwym kraterze. Chociaż socjalistyczni sejsmolodzy gwarantowali, że wulkan nie grozi erupcją, to przecież tąpnięcia tektoniczne dawały znać o sobie.

W Rzeszowie rolnicy okupowali były budynek WRZZ, domagając się rejestracji ich związku zawodowego.

Komuniści się zaparli i nie podejmowali decyzji, a NSZZ "Solidarność" raczej niemrawo wspierała chłopów. Z miasta jeżdżono na wieś i zawsze coś stamtąd przywożono, to kartofle, to jabłka, to pół wieprzka. Panował pogląd, że chłopu wiedzie się nieźle.

To, że w posiedzeniu prezydium MKR późną jesienią 80 roku, jako goście brali udział działacze chłopscy z województwa szczecińskiego, nie było dla nas członków Prezydium niczym nadzwyczajnym. Przyjmowaliśmy często różne delegacje i przedstawicielstwa. Ich udział w obradach wynikał z naszej kurtuazji. Wysłuchiwaliśmy słusznych pretensji do dyrekcji, władz województwa, czy do rządu, ale były to sprawy, które wykraczały poza granice naszych kompetencji. Dla zespołu kierującego regionem, był to tylko stracony czas.

Gdy Artur Balazs, rolnik z Łukowa, przedstawiał alarmujący stan wsi i prosił robotników o pomoc, potraktowano jego wystąpienie tak, jak inne. Coś tam mglisto obiecano i przystąpiono do omawiania dalszych punktów. Widziałem na twarzy Balazsa rozczarowanie i smutek. Chciał opuścić salę. Przerwałem dyskusję i powiedziałem ostro:

- Panowie, tak nie można. Oni muszą mieć nasze zdecydowane poparcie, tak jak wspierają nas teraz w walce o zarejestrowanie "Solidarności". Nie możemy zostawić ich własnemu losowi, Nie możemy znowu dzielić Polski na robotniczą i chłopską, popełniać starych błędów. Oni nie mogą wyjść od nas z kwitkiem. Należy zapewnić im kąć, wydać odpowiednią uchwałę.

Ruch związkowy na wsi był w powijakach, ale należało go wesprzeć i razem iść naprzód.

Na dwudziestego dziewiątego stycznia 1981 roku KKP zwołała posiedzenie w Rzeszowie. W tym dniu miało się odbyć dużo wcześniej zaplanowane i przygotowane spotkanie w "Korabiu" z wiceministrem Machem i posłami Ziemi Szczecińskiej. Marian Jurczyk i Stanisław Wądołowski nie mogli pojechać do Rzeszowa. Udział w obradach KKP na sesji wyjazdowej nie był istotny, ważne było zmanifestowanie poparcia Szczecina dla sprawy chłopskiej. Wybór padł na mnie, bo wiedziano, że nie odmówię.

Zaopatrzony w pełnomocnictwa dojechałem rano do Rzeszowa. Było mroźno, śnieg zalegał chodniki. Na szarym budynku, nad drzwiami wejściowymi, łopotał transparent: "Żądamy rejestracji NSZZR" (Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników). Uchwyty drzwiowe omotano od wewnątrz łańcuchem.

Zapukałem i musiałem przyłożyć ucho do szyby, by zrozumieć, o co mnie pyta straż porządkowa. Starłem się przekrzyczeć hałas uliczny i wyjaśniłem, że przyjechałem ze Szczecina. Łańcuch z namaszczeniem odwiązano i wszedłem do środka. Podobna scena powtórzyła się na końcu korytarza. Dokładnie sprawdzono moje dokumenty.

Posiedzenie KKP już trwało, ale za nim wpuszczono mnie na salę obrad, ponownie raz trzeci sprawdzono moje pełnomocnictwo. Usiadłem na wolnym miejscu. Znałem tylko kilka

osób, które zapraszałem na obiady w czasie spotkań w Gdańsku. Nie zagrzałem długo miejsca, bo KPP przenosiła się do tzw. sali teatralnej, gdzie czekali zgromadzeni rolnicy.

Postanowiłem robić dokładne notatki z toczących się obrad, by na Prezydium MKR złożyć sprawozdanie z mojej misji. Byłem niepoprawnym optymistą. Poza Wądołowskim, pies z kulawą nogą nie zainteresował się moją "wycieczką".

Przysłuchując się rozmowom, rozglądałem się ciekawie dookoła. Znalazłem się w jakby surrealistycznym świecie. Na dzisiejszą rzeczywistość poczęły nakładać się sceny z obrazów Chodowieckiego, Chełmońskiego, Breughla, stare sztychy, ryciny. urywki filmów, kompozycje tajemniczych cieni i półcieni kościołów, klasztorów, ruch świateł, plamy grup ludzi spożywających posiłki przy drewnianych stołach, śpiących po kątach, muzykantów, par tańczących. Wdzierały się w to sceny z czasu Powstania Warszawskiego. Kościół na Chełmskiej, do którego schronili się mieszkańcy Dolnego Mokotowa, po zbombardowaniu go przez bombowce niemieckie. W kościele panował półmrok, posadzki zalegały toboły, walizki, zmęczeni ludzie. Przed ołtarzem, na stopniach leżeli ranni.

Te sekundowe skojarzenia nadały tej sali jakąś niesamowitą atmosferę. W półmroku, na środku pomieszczenia, obradowała KKP i przedstawiciele rolników. W głębi ołtarz, palące się świece i dywan kwiatów, ludzie modlący się w skupieniu i grupa odmawiająca głośno litanie. Po bokach, pod ścianami, przy oknach, ludzie drzemali na krzesłach, czytali gazety, grali w szachy, karty. pisali coś, rozmawiali. Chłopi z sumiastymi wąsami, w cholewach, ciemnych tużurkach i garniturach, kobiety w ludowych strojach, w chustach na głowach. Bardzo dużo ludzi starszych. Zachowywali się godnie, spokojnie. Zjeżdżali się tutaj z całej Polski, pobyli parę dni i wracali do swoich zajęć gospodarskich.

Była to niesamowita paleta barw i teatr osobliwości. Ściany sali i korytarzy pokrywały setki rysunków i wierszy, malowanych i pisanych sercem, naiwnych, ale wzruszających. Zdarzały się i rarytasy. Poznać było rękę domorosłego mistrza. Do tego z kuchni strajkowej napływały zapachy, jakich nie było w zakładowych stołówkach. Należały także do innego, przemijającego świata. Gdyby nie rzeczywistość wdzierająca się przez drzwi z łańcuchami i żalę chłopskie, przyjemnie byłoby pobyc w tym półmroku odległych czasów.

KKP wysłuchiwała długiej listy krzywd chłopskich, nie innych od krzywd robotniczych. Mieli do nas pretensje, że zostawiliśmy ich swojemu losowi. Proszono o poparcie. Byli zmęczeni. Strajkowali już miesiąc, a rząd nie chciał z nimi rozmawiać. Czy niezwykłość tej scenerii i tragizm skarg wywarły wrażenie na KKP? Wątpiłem.

Potwierdziły to późniejsze wystąpienia doradców i członków KKP. Rejestrację związku rolników połączono w jeden blok kilku spraw: wolne soboty, dostęp do środków masowego przekazu, cenzura. Miały być nierozdzielne. Tak więc rejestrację związku chłopów uzależniano od powodzenia osiągniętego w punkcie dotyczącym cenzury. A temat był jeden i to zasadniczy, poprzeć rolników.

Wypowiedzi Andrzeja Gwiazdy i mecenasa Siły -Nowickiego, odbiegały zasadniczo od innych, były wyrazem trzeźwego określenia strategii naszego Związku. Zwyciężyła jednak koncepcja "bloku". Chłopów nie uspokoili "zakładnicy" KKP, którzy mieli tu pozostać i oczekiwać na rozmowy z rządem.

Część KKP, z doradcami i Waleśą, wybierała się do Warszawy, gdzie zapraszał ich minister Ciosek. Tutaj zasłaniał się brakiem kompetencji, ale jak mówił, to co zobaczył, zrobiło na nim duże wrażenie, i jest gotowy poinformować kolegów z rządu o determinacji chłopskiej. A tak, mimochodem, zaproponował negocjacje porozumień sierpniowych! Parę miesięcy po ich podpisaniu!

Znaczyło to, że planowano uwikłać związek w długie i beznadziejne rozmowy. Cel był jasny. Jak określił to Siła – Nowicki: wolne soboty były "walką o pietruszkę".

Należało się wycofać, odstąpić chwilowo od tematu cenzury i dostępu do masmediów. Zaczęliśmy już sobie sami radzić, stawać się coraz bardziej samodzielni.

Zdawałem sobie sprawę, jak wiele zależy od tej około stuosobowej grupy, o nazwie Krajowa Komisja Porozumiewawcza i od jej doradców. Mieli mandat zaufania dziesięciu milionów związkowców i wolną rękę w podejmowaniu decyzji! Ale jakże inny był to zespół od tego, który zebrał się po raz pierwszy w Gdańsku w dniu siedemnastego września 1980 roku.

Dobra wola komunistów skończyła się po południu trzydziestego pierwszego sierpnia, a teraz dzisiaj i tutaj dwudziestego dziewiątego stycznia 1981 roku nie można było o tym zapomnieć!

Ze staropolską gościnnością gospodarze w Rzeszowie zaprosili nas na obiad. Nie wiem czy zasłużony? Tak wspaniałej kiszonej kapusty nigdzie przedtem i potem nie jadłem.

Mój pobyt miał się ku końcowi. Wieczornym pociągiem wracałem do Szczecina, uboższy o tysiąc złotych. W moich notatkach natrafiłem na zapis: "Bugajewski, pożyczka 1000 złotych". Przyjechał ze Świnoujścia i wspierał strajkujących. Notatka wciąż aktualna. Tym sposobem stare czasy nie są jeszcze historią.

Nie odpocząłem jeszcze po podróży do Rzeszowa, gdy Stanisław Wądołowski nawoływał do następnej. Z Jerzym Zimowskim, radcą prawnym MKR, miałem jechać znowu na kraniec Polski, do Suwałk.

Tygodnik "Jedność" nr 6/24 z dnia trzynastego lutego 1981 roku podawał: *"SUWAŁKI". Trzeciego lutego o godzinie 18,00 do siedziby MKZ wtargnęli dwaj prokuratorzy, Sadowski i Zakrzewski, w asyście MO i SB, aby zarekwirować głośniki, przez które przekazywano komunikaty związkowe i fragmenty tekstów pracy związkowej. Piątego lutego podjęto rozmowy z wojewodą w sprawie ukarania winnych wtargnięcia (prokuratorzy nie przedstawili odpowiednich dokumentów prawnych), zwrotu głośników, uzyskania zgody na pracę radiowęzła MKZ Suwałki i zapewnienia związkowi dostępu do prasy codziennej i radiowęzła lokalnego".*

Z upoważnienia KKP mieliśmy na miejscu zapoznać się z przebiegiem wydarzeń.

Jerzy Zimowski to był swój chłop. Miałem do niego bezgraniczne zaufanie, lubiłem go. Nie był to prawnik, który dla kariery lub pieniędzy doradziłby nawet diabłu. Był jednym z nas i swoją wiedzę prawniczą, trzeźwym i logicznym myśleniem, pomagał związkowi. Wielu takich jak ja nie miało pojęcia o zawilosciach prawa czy bezprawia i nie wiedziało jak się poruszać po obszarze władzy. Dla wszystkich znajdował cierpliwość i mądre słowo. Pozostawał poza jakimikolwiek podejrzeniami lub pomówieniami. Gdy zasilił skład "mózgu" MKR, przyjęto to z zadowoleniem. A kiedy zapraszano go na oficjalne rozmowy, rokowania, proszono o formułowanie deklaracji, odezwy, oświadczeń, wiedziano że zrobi to doskonale.

Z usposobienia spokojny, może flegmatyczny, cedził słowa. Przeważnie do niego zwracałem się po porady. Nieraz proponował mi różne zadania organizacyjne, wierząc że im podołam. Zostawiał mi swobodę działania. Byłem jego uczniem i naukę jego bardzo sobie ceniłem. Przypuszczam, że należałem do tych, na których mógł liczyć.

Po rozgoszczeniu się w pokojach pseudo nowoczesnego hotelu w Suwałkach, wybraliśmy się do MKZ.

Wiatr dmuchał od jeziora, śnieg skrzypiał pod butami. Miasto wydawało się senne, ruch samochodowy był niewielki. Przypominało prowincjonalne, zapadłe miasteczka przedrewolucyjnej Rosji. Wzdłuż szerokiej ulicy ciągnęły się jednopiętrowe domy. Fasady nadgryzione zębem czasu, sypiące się tynki, pokrzywione okna, bramy bez drzwi.

Do siedziby MKZ Suwałki, niewielkiego pomieszczenia na parterze, położonego na skrzyżowaniu głównych ulic, wchodziło się prosto z chodnika. Być może dawniej był tu sklep lub restauracja. Narożnik ten od razu rzucał się w oczy kolorowymi plakatami. A jedynym źródłem wiadomości związkowych były tablice informacyjne ustawione przed budynkiem.

Gdy zainstalowano głośniki i zaczęto nadawać komunikaty, doszło do interwencji SB, która w tym małym miasteczku była także bezkarna, jak wszędzie.

Przewodniczący Tylanda ugościł nas herbatą i opowiedział przebieg zdarzeń. Następnego dnia postanowiliśmy razem z nim odwiedzić prokuratora.

Lecz napad na MKZ nie wzbudzał w Suwałkach takich emocji, jak nowo wybudowany wieżowiec Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Mieszkańcy Suwałk domagali się by przeznaczyć go na żłobek, przychodnię lekarskie, szkołę pielęgniarek.

Domy w mieście pamiętały jeszcze carskie czasy. Nigdy nie remontowane, bez kanalizacji, bez bieżącej wody. Jeśli z zewnątrz, maźnięte łuszczącą się już farbą, wyglądały jako tako, to we wnętrzu były ruiną. Schody drewniane, połamane, zmurszałe, stropy uginające się niebezpiecznie. W warunkach urągających wszelkim przepisom sanitarnym mieściły się tutaj przychodnie lekarskie, biblioteki i inne lokale użyteczności publicznej.

Od wielu już lat budowano szpital, ale priorytet miał dom Partii. Materiały, z których można było zbudować nowe Suwałki, przeznaczono na ten pomnik socjalizmu.

Jeszcze się nie ściemniło. Wybraliśmy się na spacer po mieście.

Już z daleka wybijał się w niebo wieżowiec. Był tak niesamowity i zaskakujący, tak nierealny, jakby postawiono w tym miejscu na przykład wieżę Eiffela. Byłem wstrząśnięty. Było to dzieło ludzi pozbawionych jakichkolwiek skrupułów, odruchów ludzkich.

Miasto kojarzyło się ze średniowiecznym grodem złego władcy. Murowana, kamienna wieża, twierdza, wokół przylepione do niej nędzne lepianki. Wtedy tak mogło być, ale dzisiaj?!

Komitet Wojewódzki PZPR miał ponadto do swojej dyspozycji obszerny budynek w tak zwanym "nowym mieście", dzielnicy betonowych sypialni.

Gdybym był członkiem tego MKZ, powiodłbym mieszkańców Suwałk do szturmowania i ten pałac zająłbym siłą.

Oczywiście rozmowa z prokuratorem była bezprzedmiotowa, tak jak się tego spodziewaliśmy. Ważne jednak było to, by miejscowe SB zdawało sobie sprawę, że Suwałkami interesuje się cała Polska i Związek. Mieliśmy nadzieję, że będą bardziej powściągliwi.

Zapraszano nas na wieczorne rozmowy z wojewodą MKZ. Mieszkańcy Suwałk byli optymistyczni. Mieli gotowy plan zasiedlenia, bardzo szczegółowy. I byli bardzo dobrze przygotowani do spotkania. Niestety musieliśmy wracać do Szczecina.

A oto finał! "Jedność" nr 7/25 z dnia 20 lutego 81 r.

"SUWAŁKI". "Czternastego lutego przy silnej obstawie MO i SB rozpoczęło się zasiedlanie gmachu KW PZPR (zasiedlanie przez Partię, oczywiście, w nocy, w świetle zainstalowanych reflektorów, przy użyciu wojska i wojskowego transportu - mój przyp). "Solidarność" domagała się kontynuowania przerwanych jedenastego bm. rozmów na temat przekazania kompleksu gmachów KW na cele społeczne. Szesnastego lutego w godzinach wieczornych wojewoda suwalski poinformował przedstawicieli MKZ, że został zobowiązany przez premiera do zawiadomienia ich, że sprawa budynku KW jest premierowi znana i po zbadaniu sprawy podejmie decyzję. Przedstawiciele KC PZPR mają zbadać sprawę na miejscu".

Zastanawiałem się, czy jednak mój pomysł wzięcia szturmem wieży władców, nie był pozbawiony sensu.

MKZ Suwałki i sąsiedni MKZ Giżycko, były niewielkimi i słabymi regionami, obejmującymi zacofane gospodarczo Pojezierze Mazurskie. Nocna lekcja, udzielona przez SB

mieszkańcom Suwałk, uzmysłowiła im ich słabość. Wyciągnęli z niej mądre wnioski. W dniu czternastego lutego połączyli się z MKZ Giżycko, tworząc jeden silniejszy MKZ NSZZ "Solidarność" Region Pojezierze z siedzibą w Giżycku. Był to przykład, który powielić powinny były inne regiony. Smak władzy jest jednak silniejszy od zdrowego rozsądku. Działanie Giżycka i Suwałk zaszugało na rozgłos, a przeszło bez echa.

Ryszard Drewniak, pracownik PGR, oddelegowany do pracy w MKR, chętnie dyżurował przy teleksie. Miał poczucie bliskiego kontaktu z kolegami z innych regionów i był pierwszym odbiorcą wielu ciekawych wiadomości.

W sekretariacie MKR panował półmrok, było cicho i pachniało świeżo zaparzoną kawą. Teleks zaczął pracować. Ryszard rozwiązywał dalej przekrojową krzyżówkę. Nadawano dłuższy tekst. Wstał niechętnie, gdyż sto trzydzieści kilogramów przy niewysokim wzroście dawało znać o sobie i zaczął czytać.

Przytulność pokoju natychmiast prysła. Podskoczył do telefonu. Łączył się z Domem Kultury "Korab", gdzie odbywało się plenum MKR. Płynęły minuty. Z drugiej strony nikt nie podnosił słuchawki. Jak ich zawiadomić? Nie mógł opuścić biura.

Nareszcie ktoś się odezwał.

Krzyczał: - Tutaj MKR, Drewniak, prędko Wądołowskiego, bardzo ważne, w Bydgoszczy pobili naszych!

MELDUJEMY ZAKOŃCZENIE SESJI WRN W BYDGOSZCZY !



BYDGOSZCZ 19 marca 1981

PROSZĘ PAŃSTWA PRZED CHWILĄ OTRZYMAŁYŚMY WIADOMOŚĆ
ŻE W BYDGOSZCZY W CZASIE
OBRADE WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ
W KTÓREJ BIERZE UDZIAŁ DELEGACJA NSZZ "SOLIDARNOŚĆ",
NA SALĘ WTARGNĘŁA MO I SB I CIĘŻKO POBIŁA PRZEWODNICZĄCEGO REGIONU
JANA RULEWSKIEGO I JESZCZE PARĘ OSÓB.
WAŁĘSA, MARIAN JURCZYK I KILKU CZŁONKÓW KPP SĄ JUŻ W DRODZE,
BY WYJAŚNIĆ SPRAWĘ NA MIEJSCU. SYTUACJA WYDAJE SIĘ BARDZO POWAŻNA.
PROPONUJĘ ZAKOŃCZYĆ NASZE SPOTKANIE.
CZŁONKOWIE PREZYDIUM ZBIORĄ SIĘ NA MAŁOPOLSKIEJ.
PROSZĘ O ZACHOWANIE SPOKOJU, ROZWAGI I GODNOŚCI ZWIĄZKOWEJ.
NALEŻY UTRZYMYWAĆ STAŁY KONTAKT Z MKR. JESZCZE RAZ PROSZĘ
O SPOKÓJ I OSTROŻNOŚĆ NA MIEŚCIE.

Stanisław Wądołowski starał się opanować podenerwowanie, gdy na sali obrad podszedł do mikrofonu.

- Proszę Państwa, przed chwilą otrzymaliśmy wiadomość, że w Bydgoszczy w czasie obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej, w której bierze udział delegacja NSZZ "Solidarność", na salę wtargnęła MO i SB i ciężko pobiła przewodniczącego regionu Jana Rulewskiego i jeszcze parę osób. Wałęsa, Marian Jurczyk i kilku członków KPP są już w drodze, by wyjaśnić sprawę na miejscu. Sytuacja wydaje się bardzo poważna. Proponuję zakończyć nasze spotkanie. Członkowie Prezydium zbiorą się na Małopolskiej. Proszę o zachowanie spokoju, rozwagi i godności związkowej. Należy utrzymywać stały kontakt z MKR. Jeszcze raz proszę o spokój i ostrożność na mieście.

Wcisnąłem się w fotel, tak jakbym w nim szukał oparcia i osłony przed ciosami, które i mnie kiedyś dosięgną. Niejednego dotychczas poturbowano, zatrzymano, było to ryzyko wpisane w naszą działalność. Ale w czasie sesji WRN, na oczach świadków! Uderzenie musiało być przemyślane i wykonane z całą świadomością.

Sala pustoszała szybko. Sprawdziłem, czy mam przy sobie małą karteczkę z wypisanym na maszynie tekstem „Zostałem zatrzymany przez MO. Proszę dzwonić: Polskie Linie

Oceaniczne Szczecin, telefon 22-20-98. Krzysztof Jagielski."

Był to pomysł Andrzeja Krańnickiego. W razie aresztowania należało karteluszek wyrzucić. Chodziło o luksus psychiczny, o świadomość, że ślad po nas nie zaginie. Ten mały skrawek papieru najlepiej świadczył, w jak "miłych" żyliśmy czasach, a przyszłym historykom powinien więcej powiedzieć, niż zakurzone stopy dokumentów.

Udałem się do MKR. Na Małopolskiej brzęczało jak w ulu, do którego próbował dostać się intruz. Zgromadziliśmy się przy teleksie i po północy byliśmy pewni, że wystawiono nas na próbę.

Silne oddziały milicji gromadzone już od kilku dni wokół Bydgoszczy, przedłużenie manewrów Układu Warszawskiego, wtargnięcie MO na salę obrad w czasie sesji WRN, zaatakowanie delegacji NSZZ "Solidarność" i pobicie Jana Rulewskiego, Mariusza Łabętowicza, Michała Bartoszcze, puzzle były ułożone!

Musieliśmy odparować cios strajkiem. Jeżeli poprzestaniemy na nic nie znaczących protestach, będą nas bili częściej i mocniej. Rozumiałem podenerwowanie kolegów. Nasze osobiste bezpieczeństwo zależało teraz od nas, od naszej wzajemnej solidarności. Z pokpiwaniem patrzyłem na tych, którzy powtarzali zasłyszane slogany, to atak na Jaruzelskiego i jego honor żołnierski.

Wielu wierzyło w dobrych i złych komunistów. Tym dobrym był generał Jaruzelski i niektórzy mieli nadzieję, że "Solidarność" się z nim dogada.

W Bydgoszczy był już Wałęsa i Jurczyk. Nie było sensu siedzieć w MKR. Ustaliliśmy nocny dyżur, a zebranie Prezydium wyznaczono na ósmą rano. Wychodząc z budynku, sprawdziłem jeszcze raz, czy mam przy sobie mój "talizman na strach". Odruch tym bardziej uzasadniony, że sąsiedzi, komendy MO i SB, mogli mieć nas już na celowniku. Ale tam panował błogi spokój, przynajmniej na zewnątrz.

Rano Prezydium MKR poparło decyzję KPP o gotowości strajkowej, zawieszeniu rozmów z rządem, przygotowaniu do strajku właściwego na dwudziestego trzeciego marca.

Postanowiliśmy przenieść się do gmachu dyrekcji Stoczni, a w razie strajku na jej teren. W MKR pozostali tylko dyżurujący.

Natychmiast pojechałem do siebie. Tadeusz Hundert ścigał na odprawę grupę związkową, ja powiadamiałem Dyrektora o gotowości strajkowej i uprzedzałem, że na wypadek strajku przejmemy kontrolę nad przedsiębiorstwem. Mieliśmy już doświadczenie sierpniowe. Ustalenia organizacyjne nie zajęły nam wiele czasu. Poleciliśmy wywieszenie flag narodowych na budynkach i na burtach statków, wypisywanie haseł wszędzie, gdzie będzie to możliwe. Pełniący funkcje związkowe mieli obowiązkowo nosić opaski biało-czerwone. Ustaliliśmy cało dobowe dyżury w Komisji Zakładowej. Pracownicy naszego przedsiębiorstwa zgłaszali się tłumnie do pomocy.

Już przed południem wszystkie zakłady w Szczecinie i w regionie ogłosiły gotowość strajkową. Miasto pokryło się flagami biało-czerwonymi i transparentami z hasłami. Tramwaje i taksówki udekorowano proporczykami. Na mieście nie widziałem ani jednego hasła popierającego Jaruzelskiego.

Byłem gotowy, jak i inni, dwudziestego trzeciego marca, bez względu na to, co przyniesie przyszłość, powiedzieć: - mam tego dosyć!

Przyszłość jaką nam ofiarowywał generał Jaruzelski, a w którym wielu doradców i funkcjonariuszy związkowych pokładało nadzieje, to stan wojenny, interwencja zbrojna sąsiadów i powielane w różnych wariantach ćwiczenia bydgoskie.

Pracownicy Polskich Linii Oceanicznych, którzy opowiadali się po stronie Solidarności, ze zrozumieniem przyjmowali nasze instrukcje strajkowe. Zbierano materace, śpiwory, koce,

gromadzono prowiant. Poczułem się pewniej i bezpieczniej. Miałem świadomość, że tworzymy jedną wielką, wspaniałą rodzinę.

Z napływających komunikatów wynikało jasno, że regiony opowiadają się za bezkompromisowym działaniem. MKZ-ty domagały się od Krajowej Komisji Porozumiewawczej zdecydowania w rozmowach z rządem.

Ulotka MKR (drukowana w Stoczni Szczecińskiej) informowała: „*Dzień dwudziesty drugi marca 1981, godzina 11,30. PODSUMOWANIE: Wg stanu aktualnego (godz. 11,30) (dnia 22.3.81 r.) stwierdzić trzeba, że obie strony tj. władze i KKP będą dążyć do kompromisu. Rzecz w tym jednak, czy warunki kompromisu będą odpowiadać interesom Związku oraz oczekiwaniom zmobilizowanego społeczeństwa. Za Prezydium: Wiceprzewodniczący Prezydium MKR w Szczecinie - Stanisław Wądołowski*”.

Dla mnie podjęcie kompromisu znaczyło, że Rząd odsłoni kulisy prowokacji, ukarze winnych, przeprosi pobitych, a "Solidarność" odstąpi od strajku. Niestety, komuniści stosowali uniki, przewlekali rozmowy i coraz częściej używali gróźb. Odpowiedzialnością za wydarzenia bydgoskie obarczali "Solidarność".

W Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Szczecinie, w gablotce zamkniętej na klucz, wisiały paszkwile rysunkowe na nasz Związek. Między innymi przedstawiono Mariana Jurczyka w hitlerowskim mundurze. Rysunki nie mogły znaleźć się tam przypadkowo.

Na dramatycznym posiedzeniu KKP w dniu dwudziestego piątego marca, gdzie większość regionów opowiedziała się za natychmiastowym strajkiem generalnym, a Wałęsa (podobno powiadomiony o zamiarach wprowadzenia w dniu następnym stanu wojennego) zagroził ustąpieniem, o ile jego propozycja strajku ostrzegawczego, poprzedzającego strajk powszechny, nie znajdzie zrozumienia, odstąpiono do strajku właściwego i postanowiono poprzedzić go ostrzegawczym. Terminy ustalono na dwudziestego siódmego i trzydziestego pierwszego marca. Krajowa Komisja Porozumiewawcza przekształciła się w Krajowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Gdańsku. Decyzję o odwołaniu lub przerwaniu strajku mogła podjąć tylko KKP w pełnym składzie.

Prezydium MKR, gdy była ku temu potrzeba, odbywało posiedzenia, omawiało sytuację, publikowało komunikaty i oświadczenia. Byliśmy do dyspozycji MKR całą dobę. Marian Jurczyk brał udział w rozmowach z rządem. Informowaliśmy go prawie codziennie o bardzo radykalnych nastrojach regionu.

Minęło pięć dni, a strona rządowa nie zrobiła żadnego gestu dobrej woli. Z braku konkretnego zajęcia, postanowiłem wesprzeć służbę zaopatrzenia MKR, której przewodził Bogdan Baturu.

Po kilku spotkaniach z działaczami "Solidarności" z przedsiębiorstw spożywczych oraz transportowo-komunikacyjnych mieliśmy pewność, że na wypadek strajku generalnego i ewentualnej blokady, zapasy żywności wystarczą, bez żadnych ograniczeń, na dwa miesiące, a przy reglamentacji na cztery do pięciu. Mieliśmy dokładne informacje o zasobach w magazynach i możliwościach produkcyjnych zakładów. Pomoc od indywidualnych rolników, nie mówiąc o PGR, zapowiadała się tak duża, że zastanawialiśmy się, jakie są przyczyny złego zaopatrzenia Szczecina. Wynikać to musiało z bałaganu biurokratycznego, indolencji handlu, sterowane go centralnie, lub jakichś innych powodów. Szczeciński Wydział Handlu i Wojewoda także bezczelnie nas okłamywali.

Uczestniczyłem w spotkaniu "Solidarności" z wojewodą. To, co u niego zobaczyłem, przypominało comedie del arte. Pan wojewoda i panowie dyrektorzy różnych gałęzi przemysłu spożywczego bawili się znakomicie naszym kosztem. My byliśmy pajacami. Wszystko jest w

porządku, dostawy zgodnie z planem, produkcja bez zakłóceń, a jeżeli coś tam nie gra, to wyjaśnią.

Szkoda było czasu. Byli bezkarni i arogancy. Za swoimi plecami mieli telefon do SB. Byli pewni siebie. Nigdy potem nie wziąłem już udziału w podobnej farsie.

Z problemem komunikacji miejskiej i dowozem pracowników do się przedsiębiorstw, nie mielibyśmy także specjalnych kłopotów.

W czasie strajku służba zaopatrzenia MKR stawała by się jednym z głównych centrów dowodzenia. To był mój żywioł. Wiedziałem, że mimo braku doświadczenia, dam sobie radę.

W razie interwencji zbrojnej nie pozostawało nam nic innego, jak stosować bierny opór. Nie mieliśmy broni i nie byliśmy zorganizowani militarnie. Pamiętaliśmy rok 1970, krwawą rozprawę Rosjan z Węgry w 1956 roku.

Ulotka MKR (drukowana w Stoczni) dnia dwudziestego szóstego marca 1981 roku:

„Byliśmy cierpliwi, staraliśmy się negocjować i konsultować. Byliśmy partnerem kłopotliwym dla władzy, ale ufnym i lojalnym. Prowokowano nas wielokrotnie do akcji strajkowych. Niektóre mniej doświadczone ośrodki traciły panowanie nad sytuacją decydowały się na strajki. Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ "Solidarność" robiła wszystko, by "pożar ugasić". Teraz przebrała się miarka! Trzej nasi koledzy leżą w szpitalach! To już nie jest walka rasji i argumentów, to walka pałkami i kastetami ze Związkiem "Solidarność".

Dwudziestego siódmego marca o godzinie 8,00 syreny ogłosiły rozpoczęcie strajku ostrzegawczego. Na drzwiach Komisji Zakładowej PLO napis "Komitet Strajkowy" Wyszedłem przed budynek. Aleja Wojska Polskiego, jak sięgnąć okiem, pusta. Zamarły w ruchu tramwaje. Smutne o tej porze rzędy przyulicznych drzew.

Z naszych biur meldują co pewien czas : - Wszędzie spokój.

W południe znów syreny. Strajk skończony. Teraz przed nami pełne cztery dni zasadniczych rozstrzygnięć.

Na wieczornym posiedzeniu Prezydium, na podstawie teleksów ze wszystkich regionów, bezpośrednich relacji z naszego miasta i województwa, uznajemy strajk ostrzegawczy za sukces. Kraj stanął jak długi i szeroki. Panował wzorowy porządek.

Dwudziestego ósmego marca Prezydium MKR i przedstawiciele wielu zakładów pracy spotkali się z posłami Ziemi Szczecińskiej i Stargardzkiej w Stoczniowej sali, w której podpisano umowę sierpniową. Przyszło ich siedmiu. Czterech nie usprawiedliwiło swojej nieobecności, w tym Janusz Brych, I Sekretarz KW, władca województwa szczecińskiego. Pan życia i śmierci. Należał do czerwonej śmietanki i nie potrzebował się fatygować.

Przez przeszło dwie godziny obserwowałem to żalosne widowisko. Panie Posłanki i Panowie Posłowie pod presją pytań i zarzutów wili się jak piskorze. Niektóre głosy ze sali były niepotrzebnie demagogiczne i napastliwe.

Doktor Michał Kurowski spokojnie i inteligentnie przyparł posłów do muru. Z ociąganiem i niechęcią musieli osobiście zadeklarować, który z pięciu punktów żądań strajkowych, przedstawionych przez KKP, będą interpelować w Sejmie.

Posłanka Gwadulska załamała się nerwowo i z płaczem oznajmiła, że nie będzie ponownie kandydować do Sejmu. „Moich” posłów widziałem po raz pierwszy i ostatni. Nawet nie miałem pojęcia, że aż tylu reprezentuje mnie w Sejmie. Spotkanie to wykazało, jak godni pożałowania byli marionetkami.

Zdawałem sobie sprawę, że podpisana wspólnie rezolucja posłów i MKS, to jeszcze jeden pięknie napisany dokument (przez radcę MKS, Andrzeja Milczanowskiego), który wpięty zostanie do segregatora i tam spocznie.

W przeddzień strajku generalnego, trzydziestego marca, napięcie osiągnęło zenit. W Warszawie rozmawiali z rządem przedstawiciele KKS Wałęsa, Jurczyk, Gwiazda i Słowik. Asystowali im doradcy Geremek i Chrzanowski.

Było już późno. Brakowało jakichkolwiek wiadomości o przebiegu rozmów. Nie opuszczałem budynku Stoczni. Międzyzakładowy Komitet Strajkowy był w komplecie. Pokoje i korytarze pełne przedstawicieli Komisji Zakładowych. Gęsto od dymu papierosowego. To nie zmęczenie, to straszne napięcie powoduje, że rozmowy się nie kleją, że nikt nie może usiedzieć na miejscu. Niektórzy nadrabiają miną, ale wszyscy wiemy, że jutro być może staniemy na barykadzie z gołymi rękoma i wielu z niej nie powróci.

Zapowiedziano ważne wystąpienie. Zbieramy się przed ekranem telewizora.

Andrzej Gwiazda czyta komunikat o wyrażeniu przez rząd ubolewania z powodu pobicia trzech działaczy, przyznaniu, że użycie milicji w gmachu WRN było niewłaściwe, że przeprowadzi się wnikliwe śledztwo w sprawie pobicia i ukarze winnych. W tej sytuacji zawieszono strajk generalny. Obraz zniknął.

Nie, to nieprawda, to jakaś manipulacja! A może Andrzejowi Gwieździe przyłożyli do pleców pistolet? Może MUSIAŁ? Gdzie jest Krajowy Komitet Strajkowy? Jasno sformułowano, że odwołać strajk może tylko on! Ta czwórka nie miała prawa odwoływać strajku!

Byłem zrozpaczony. Nie mogłem zebrać myśli Przez jedenaście dni miliony ludzi żyły w napięciu, stały solidarnym murem i oczekiwały ustępstw ze strony rządu, nie ustępstw, a raczej wypełnienia uroczyste podpisanych przyrzeczeń sierpniowych.

Dlaczego Gwiazda, a nie Wałęsa? Dlaczego wiadomości tej nie zakomunikował Wałęsa, jako przewodniczący Związku? Pytania, pytania. Decyzję potwierdzić miał nazajutrz KKS w pełnym swoim składzie. Ale już jest za późno! Przegraliśmy! Zgromadzeni koło mnie ludzie zareagowali okrzykami radości, ale również wołali: - Zdrada!

Nie wiedzieliśmy nic ponad to, co usłyszeliśmy z krótkiego przekazu telewizyjnego. Należało poczekać do jutra. Ale Prezydium MKR, raczej jeszcze MKS, potwierdziło odwołanie strajku. Trwać miało jeszcze pogotowie strajkowe.

Posiedzenie przebiegało burzliwie. Przecież Jurczyk był codziennie informowany o nastrojach w Regionie. Reprezentował trzysta tysięcy związkowców. Nie miał prawa wypowiadać się we własnym imieniu!

Nie tylko członkowie Prezydium podzielili się na dwie grupy, podzielili się członkowie "Solidarności".

Już nie tworzyliśmy jednej, wspaniałej rodziny. Poczuję się sam i zagrożony. Teraz ja ustawiłem się w kolejce do pałowania.

Następnego dnia tylko szaleńcy w KKP mogliby głosować za strajkiem generalnym. Wierzyłem, że NSZZ "Solidarność" jest niepodzielna, że idziemy ramię przy ramieniu w niewiadomą przyszłość. Wierzyłem, że dziesięć milionów myśli tak jak ja.

Trzydziestego pierwszego marca KKP zatwierdziła odwołanie strajku powszechnego. Andrzej Gwiazda, wiceprzewodniczący Związku podał się do dymisji za przekroczenie swoich kompetencji. Na znak protestu ze stanowiska rzecznika ustąpił Karol Modzelewski.

Dlaczego nie zrobili tego także Jurczyk, Słowik i Wałęsa?

Późno w nocy Wądołowski i Chmielewska rozegrali farsę głosowania nad odwołaniem strajku w Regionie Szczecińskim. Wepchnięto nas do niewielkiej sali. Straż porządkowa pilnowała, by obecni byli tylko członkowie Prezydium MKR. Wszystkich innych wyproszono. Może obawiali się, że będziemy mimo wszystko obstawać za strajkiem, Mariana Jurczyka postawimy w dwuznacznej sytuacji (nie mógłby nic innego uczynić, gdy byśmy nie

zaakceptowali stanowiska KKP, jak podać się do dymisji). że posiedzenie będzie burzliwe. Być może dlatego głosowanie zarządzili przy drzwiach zamkniętych.

Zabiegi okazały się zbyteczne. Było już za późno, by coś ratować i wszyscy dobrze zdawali sobie z tego sprawę.

Siedziałem naprzeciw Pani Marii Chmielewskiej. Nie wiem, dlaczego ona przewodziła zebraniu, a nie Stanisław Wądołowski lub Stanisław Kocjan, zastępcy Jurczyka? Pani Maria starała się być stanowcza. Zarządziła głosowanie takim tonem, jakby chciała powiedzieć, no niech się który wychyli, straż już tam czeka pod drzwiami. Wyczuwało się presję. W duchu chciało mi się śmiać, chociaż należało płakać. Głosowałem za zakończeniem gotowości strajkowej i odwołaniem strajku generalnego. Zawsze byłem dżentelmenem. Nie mogłem zrobić przykrości przewodniczącej.

Teraz należało poczekać na Mariana Jurczyka, który opowie, co wydarzyło się w Warszawie. Wtedy będzie można się pokusić o wyrobienie sobie poglądu o tym skandalu.

Zdążyliśmy jednak wystosować ostry protest przeciw uzgodnieniom, w którym stwierdzaliśmy: - Takie stanowisko doprowadzi związek do rozłamu /.../ Albo wszystko albo nic. (Nie mogłem w moim zasobnym archiwum znaleźć tej uchwały, posłużyłem się więc cytatem z książki "Szczecin -Grudzień -Sierpień -Grudzień", znakomitych autorów M. Szajnert i T. Zalewskiego).

Marian Jurczyk, po powrocie do Szczecina, zrelacjonował wydarzenia. Powtórzył to na Plenum MKR w DK "Korab" i w wywiadzie dla "Jedności". Przytaczam fragment jego wystąpienia w "Korabiu": - „*Droży Państwo. Wszystko cośmy wywalczyli na przestrzeni tysiąca lat, to siłą, rozlewem krwi. Po raz pierwszy teraz, od sierpnia, coś się zrobiło, niewiele bo niewiele, ale zawsze i nie wsiąkła ani jedna kropla krwi w naszą polską ziemię. I musimy zrobić wszystko, aby dyplomatycznie, taktycznie osiągnąć to, czego naród żąda, co się słusznie narodowi należy. Ale nie można ciągle ryzykować i ciągle opierać się na rozlewie krwi. Każdy z nas ma maleńkie dziecko. Jakże to dziecko pragnie powrotu rodziców z pracy do domu. Dziecko to wita swoimi wyciągniętymi rączkami i swoim uśmiechem rodziców. My nie chcemy, żeby uśmiech dziecka zamienić na gorzkie lzy. My nie mieliśmy prawa brać tak poważnej odpowiedzialności na swoje sumienie. Uważam, że w tej sytuacji nie popełniliśmy wielkiego błędu. Wszystko jest przed nami, żaden postulat nie został zamknięty.*”

Wałęsa, KKP i doradcy musieli zdawać sobie sprawę z nieprawdopodobnej mobilizacji psychicznej społeczeństwa. Było ono w tej chwili gotowe do największych poświęceń i wyrzeczeń. Tak jak w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku, jak w czasie okupacji niemieckiej i Powstania Warszawskiego. Tego nie można było zmarnować, tylko dyletanci mogli być ślepi. Już wiele razy KKP podbijała bębenka i wycofywała się. Nie wolno było manipulować masami. To jest niebezpieczne. Entuzjazm ma też swoje granice.

Jeżeli negocjacyjną czwórkę Solidarności straszono (w czym wielce byli pomocni nasi eksperci) natychmiastową interwencją rosyjską i masowym mordem ludności, to mieli oni tylko jedno wyjście. Przerwać rozmowy i zwołać natychmiast KKP do Warszawy. Pod pistoletem nie prowadzi się negocjacji. Wykonuje się posłusznie rozkazy! Gdyby jednak KKP zdecydowała o zawieszeniu strajku, to prawdopodobnie mogłaby pozwolić sobie na ogłoszenie oświadczenia, że zrobiono to pod groźbą czołgów rosyjskich.

Czwórka ta, jako gracze polityczni, a szczególnie Wałęsa, który przypisywał sobie w tej mierze niepospolite zdolności, powinna była wziąć pod uwagę możliwość, że jest to zwykły bluff. Czterdzieści lat świadczyło, że mieli do czynienia z kłamcami i przestępcami. Tym bardziej trzeba było wydostać się z sali, gdzie byli izolowani i dowiedzieć się, co się dzieje

naokoło. Gdy słuchałem sprawozdania Mariana Jurczyka, miałem wrażenie, że zachowywali się jak gromadka zastraszonych dzieci.

Gwiazda, Jurczyk, Słowik i Wałęsa, ponoszą pełną odpowiedzialność za "szczelinę", jaka zarysowała się w NSZZ "Solidarność". Następstwa miały okazać się jeszcze tragiczniejsze w skutkach, będzie to apatia. Powinni byli uczynić tak jak Andrzej Gwiazda. Podać się do dymisji. Być może KKP nie przyjęłaby jej, ale to już inna sprawa.

Wystąpienie Andrzeja Gwiazdy w telewizji przesądziło o wszystkim. Rozładowało straszliwe napięcie. Zdemobilizowało psychicznie milionowe masy. Było już po wszystkim. Związek okazał się słaby i źle kierowany. Nie umiał wystąpić nawet w obronie swoich pobitych członków.

Dywagacje na temat wielu technicznych błędów KKS /KKP (rozbicie się na trzy grupy Warszawa, Gdańsk, Bydgoszcz i nie negocjowanie na terenie Stoczni Gdańskiej), pozbawione są sensu. Brzmi to jak "co by było, gdyby było". Wydaje się, że KKP i jej doradcom zabrakło podstawowej wyobraźni strategicznej.

Od tej chwili wiedziałem, że mogę liczyć tylko na siebie, że nikt nie jest w stanie mi pomóc. Moje bezpieczeństwo równało się zeru. Niektórzy pracownicy Polskich Linii Oceanicznych zapewne jeszcze pamiętają, jak w czasie zebrań powtarzałem: - Ja jestem stracony. Jak będzie trzeba, to zginę, ale od was zależy, od waszej solidarności, czy na to pozwolicie.

Z wiarą, że przyczyniam się do upadku komunizmu, postanowiłem nadal brać udział w ruchu społecznym o nazwie "Solidarność". Wytoczyłem sobie własną drogę postępowania. To już nie była *nasza* "Solidarność", to była *moja* „Solidarność”.